

korzyści, jakie z tego odniesiemy, rzekł mi obojętnie:

— I cóż to może znaczyć dla mnie! Zawieź mnie, ojcze, do Grenlandyi, lub do Alaski, lub gdzie chcesz, dla mnie to wszystko jedno... I co mi z tego, że będziesz się nazywał Jonatan Brentano i zostaniesz milionerem!... Czy dzięki swemu majątkowi będziesz mi mógł wrócić Lucyę?... Czyż twoje plany przywrócą jej życie? Nie!... Więc co mnie może to wszystko interesować?... Będę ci posłuszny jak maszyna... Niema już dla mnie szczęścia, odkąd Lucyę nie żyje!... Daj mi spokój!

Kilka razy powracałem do tej rozmowy, lecz daremnie... Miałem przed sobą zardzewiałą maszynę z popsutym mechanizmem. Nie bez pewnej obawy patrzyłem też na zbliżającą się chwilę odjazdu... Nie miałem żadnej możliwości sprzeciwić się postanowieniu Williama, który chciał sam umieścić na okręcie swego podejrzanego pacjenta, a głównie pozostawać ze mną do ostatniej chwili. Naprawdę też starałem się odwieść od podobnego zamiaru i Marcadiana z Ewelina. Nie mogliśmy jednak, ani ja, ani William nakłonić ich do zerwania się tego... Uważali za swój najwyższy obowiązek towarzyszyć mi aż do końca... Widziałem w nich także chęć przekonania się osobistego o odjeździe Polidora... Głównie obawiałem się jakiejś nieroztropności ze strony Eweliny.

Wreszcie dzięki pomysłowi Joe Duncana stanęło na tem, iż William z swą narzeczoną i z Marcadianem pojedzie jednym wagonem, a Joe, ja i Z... pod strażą ciągle śmiejącego się Bambu, zajmiemy drugi wagon. Polidor zachowywał się jak prawdziwy idyota, choć w swym nowym ubraniu, ostrzyżony i uczesany, miał wygląd nawet dość dystygowany. Dzięki umiejętności fryzjera twarz jego w niczem nie przypominała studenta prawa, zabójcy swej matki, waryata z zakładu Williama.

Podróż nasza kolejną odbyła się bez żadnego wypadku i wreszcie nadeszła chwila, gdy okręt nasz miał podnieść kotwicę i uwieźć nas ostatecznie bez nadziei powrotu. Wspólnością tajemnicy byłem związany nierozdzielnie z Joe Duncanem, królem papierowym! Odjazd ten zabezpieczał już mnie w zupełności przed możliwością zdradzenia się wobec Williama, Eweliny lub Marcadiana. Podróż ta zacierała także wszelkie ślady i za Polidorem, gdyż dla świata całego on już nie żył, dla wuja zaś swego i siostry miał zamienić się w przybranego syna Jonatana Brentano.

...Joe Duncan i ja staliśmy oparci o poręcz na pokładzie. Na brzegu hałaśliwy tłum żegnał ostatnich pasażerów spieszących się na okręt... Dojrzałem małą chusteczkę Eweliny, którą zasylała nam życzenia szczęśliwej podróży... i żegnane ukłony Williama i Marcadiana.

— Patrz — rzekł Joe, podając mi lornetkę — twoja córka płacze, możnaby powiedzieć że z radości!... I mój syn także płacze... ale ten pewnie z żalu, czy nie tak?

I jak zwykle drwiąc ze wszystkiego, dodał:

— Szczęśliwy z ciebie ojciec!

Tak! Ewelina płakała z radości, gdym ją żegnał przed udaniem się na pokład, zabierałem bowiem z sobą jedyną jej troskę, nieszczęśliwego brata. Tak! William płakał z żalu, gdyż dla niego mój odjazd był prawdziwą boleścią. I mnie, choć cieszyłem się z ich łatwości i nieświadomości, ukazały się łzy w oczach na myśl, że opuszczam to, com ukochał, że może nigdy już nie zobaczę ani swej drogiej córki, ani grobu mej ukochanej Gabrieli.

— Co! i ty także?... — roześmiał się Joe. — Jesteś śmieszny, Jonatanie.

I zapalając cygaro, odszedł do kajuty.

...Okręt wypłynął już z przystani... Zostałem odcięty od reszty świata...

### XIII.

— I cóż Jonatanie!... Podróż zapowiada się do brze!... Nie masz mdłości?... Żadnych żalów?... Żadnych smutków?... Doskonale!... Rzuć-że swą obrzydliwą fajkę i zapal dobre cygaro!... A propos, kabina twoja wygodna?... Nie trzeba usuwać się od

towarzystwa!... Cóż do dyabła, powinienes być żywszy!... Masz minę skazańca, którego wiozą na zesłanie!... Dziecinny jesteś!... Nie spotkałeś tu jeszcze nikogo znajomego?

Siedzieliśmy razem na ławce na górnym pomoście okrętowym. Joe z nogami opartymi na poręczy, tak, iż kołana miał na wysokości czoła, z głową odchyloną w tył, palił cygaro, puszczając w górę wielkie kłęby dymu.

Nie odpowiadając na jego szybko następujące po sobie pytania, spoglądałem w zamyśleniu na monotony, cichy, bezbrzeżny ocean... Przed nami spacerują obojętnie pasażerowie, zawiązując z sobą znajomości... Dzieci bawią się wśród zwojów lin w chowanym... Okręt, przerywając lekko ciche fale oceanu, mknie tak równo, iż nie doznajemy wcale wrażenia jazdy, zdawałoby się mogło, iż stoimy w miejscu... We mnie tylko odbywa się jakiś nieustanny, szalony wyścig myśli, wspomnień, marzeń!...

Od wczoraj, to jest od czasu wyjazdu naszego z Francji, czuję się jak przybity, jak gdyby unieczystwiony... Nastąpiło we mnie zupełne osłabienie star-

wki i zamierzał zejść do salonów, gdy nagle podszedł do niego negr po rozkazy...

Oddalili się odemnie o kilka kroków, z ożywionych jednak ruchów służącego, z jego wyrazistej mimiki, jak również i z niecierpliwości milionera domyśliłem się, że muszę rozmawiać o czemś ważnym. Domysł mój ugruntował się jeszcze bardziej gdy ujrzałem, jak Joe nasunął energicznie czapkę na głowę i skierował się szybko do kajut trzeciej klasy... Negr pozostał na miejscu i zdawał się czegoś wahać... Wreszcie zdecydował się i podszedł ku mnie, witając mnie swym zwykłym bezmyślnym uśmiechem i przewracaniem gałek ocznych.

— I cóż, Bambu?... — rzekłem, by go ośmielić.

Negr odkrył dwa rzędy białych zębów i przebiegając z nogi na nogę, odpowiedział:

— Panie myli się... Ja nie Bambu... Ja jestem Dzim... Panie nie poznaje Dżima?

Zerwałem się z ławki i chwytając go za kołnierz, potrząsnąłem nim silnie...

— Cóż ty za zarty sobie stroisz!

Z brzmienia jednak głosu, z przechylenia głowy i budowy całej jego postaci przekonałem się zaraz, że to nie był Bambu, że tu nie było żadnych żartów i że rzeczywiście Dżima trzymałem za kołnierz.

— Toś ty żywy? — zapytałem z całą naiwnością zdziwienia.

Teraz Dżim się zdumiał:

— Dlaczego Dżim miałby być nie żywy, panie?... Nie rozumiem!...

Zniknięcie Dżima po zabójstwie Lucy Weill naprowadziło mnie przez asocjacje myśli na domysł, że Joe Duncan by zatrzeć ślady swej zbrodni, usunął również i niedogodnego dla siebie świadka... Od tego straszego wieczoru, gdy król papierowy dopuścił się nademną swego ohydneho występku, ani Joe, ani jego niemy wspólnik Bambu, najmniejszym nawet słowem nie wspomnieli o zaginionym służącym... Gdy raz przypadkowo zapytałem o niego, Joe i Bambu odpowiedzieli mi na to tajemniczym uśmiechem, który tylko potwierdził mi słuszność mego domysłu... A teraz oto niespodziewane zjawienie się drugiego służącego oczyszczało w mych myślach sumienie milionera z jednej zbrodni.

— Wytlómacz-że mi wszystko!... zawołałem spostrzegłszy swój błąd.

Dżim śmiał się wesoło... Podniósł ręce do góry potem opuszczał je wolno, trzepocząc niemi jak ptak skrzydłami i odparł:

— To długa rzecz... bardzo długa, panie!...

Nie długa jednak była nieobecność Duncana, który zjawił się znowu z wściekłą miną... Brutalnym uderzeniem w głowę pchnął negra i krzyknął:

— Ah! ty psi synu! Świński bękartie! Poszedł precz stąd do swej dziury!

Dżim był już daleko, gdy Joe zwracając się ku mnie, zapytał oziębło.

— Co ci on opowiadał?

— Zdążył mnie tylko powitać i przestraszyć jak mara zagrobową... uważałem go bowiem za umarłego? Nie rozumiem...

I mówił dalej obojętnym tonem, z którego niczego nie mogłem domyśleć się:

— Jestem za dobry!... Dżim jest zły sługa... Powinienem był pozbyć się go w ten wieczór... Dżimowi nie można nic zaufać!... Ja go uśmiercę, jeżeli mi popsuje me kombinacje...

— Kombinacje?

— Jeszcze tylko sześć dni musisz poczekać, by dowiedzieć się wszystkiego... Zdaje mi się, że nie pilniej ci jest niż mnie!... A propos, a twój protegowany?... Nie pilnujesz go, Jonatanie, dostatecznie... Zrobisz mi przyjemność, nie opuszczając go ani na krok!... Jest to chłopiec niezwykle dla mnie cenny... i ja też płacę dosyć, by go mieć!... Już czas na obiad!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ewelina grywała mi ulubione utwory Griega.

ganych nerwów, bezsilne poddanie się swemu przeznaczeniu... Noc spędziłem bezsennie w kajucie, słysząc tylko głośnie chrapania swych towarzyszy podróży. Po raz pierwszy dopiero w życiu odbywałem taką długą podróż morską, nie odniosłem jednak żadnego specjalnego wrażenia, co mnie nawet irytowało... Z powodu przygnębienia nie zdolny byłem poddać się czarowi niezmierzonych wód... czułem się opuszczony i osamotniony w tem pływającym mieście... byłem nie pasażerem, lecz bagażem pierwszej klasy...

Joe pytał dalej:

— A twój protegowany? Nie widziałem go po śniadaniu w palarni!

Odpowiedziałem krótko:

— Zachowuje się bardzo poprawnie!

— Nie czuwasz zbyt nad nim!

— Nie potrzeba go pilnować!...

Polidor zaciekawiony budową tego potężnego kolosu morskogo, opuścił mnie i poszedł obejrzeć oddział maszyn. Joe nie stawiał już więcej swych pytań, zaproponował tylko:

— Może zagramy w bridża po dwadzieścia dolarów?

Kiwnąłem przecząco głową... Wtedy wstał z ła-